

Piotr Legutko

**Sztuka
debaty**
czyli
jak się nie dać

Wydawnictwo WAM

Kraków 2009

© Wydawnictwo WAM, 2009

Redakcja
Magdalena Kot

Projekt okładki i stron tytułowych
Sebastian Stachowski

ISBN 978-83-7505-459-0

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 012 62 93 200 • faks 012 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej

KSIĘGARNI INTERNETOWEJ

<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 012 62 93 260, 012 62 93 446-447
faks 012 62 93 261

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
wydawnictwowam.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp 5

Rozdział 1

O CZYM TU DEBATOWAĆ? 9

 Zacznijmy od rozmowy 9

 Rozprawa i dyskurs 11

 Spór czyli konfrontacja 13

 Mam grać? 16

 Aktorzy i Publiczność 18

 Nie wystarczy mieć rację 22

Rozdział 2

PRZEPIS NA UDANĄ DEBATĘ 27

 O co się spieramy? 27

 Przejdźmy do uczestników 30

 Jasne reguły 33

 Wspólny język 35

 Kontakt... nie tylko wzrokowy 38

 A co z publicznością? 41

Rozdział 3

CO PROWADZĄCY WIEDZIEĆ POWINIEN 45

 Kto to jest moderator? 45

 Badanie gruntu i zbieranie informacji 48

 Na dobry początek 51

 Scenariusze i ściągki 55

Jak się (dobrze) powtarzać	59
Sztuka uników	61
Nie dać się sprowokować	64
W klinczu, w emocjach	67
Musimy już kończyć... ..	71
Rozdział 4	
DEBATUJĄCYCH PORTRET WŁASNY	77
Czarodziej	78
Narcyz	79
Mędrzec	79
Technokrata	80
Trefniś	81
Ironista	82
Egzekutor	83
Śledczy	84
Terapeuta	85
Rozdział 5	
JAK BYĆ KOCHANYM?	95
Po pierwsze: samokontrola	96
Urok gry zespołowej	101
Różnić się pięknie	108
Rozdział 6	
JAK SIĘ NIE DAĆ?	115
Na tropie prowokacji	116
Gra pozorów	120
Szach i mat? Niekoniecznie	124
Ostrożnie, latające siekiery!	128

WSTĘP

To nie jest typowy podręcznik, choć sporo się z niego można nauczyć. To nie jest także klasyczny poradnik, choć dobrych rad w tej książce jest moc. To coś w rodzaju pamiętnika znalezionej w telewizyjnym studiu, który może służyć za poradnik, a nawet podręcznik.

Nie jest to pozycja naukowa, autor nie jest bowiem naukowcem, ale publicystą, praktykiem (choć tu i ówdzie wykląda teorię dziennikarstwa). Przed napisaniem tej książki nie prowadził żmudnych badań, nie czynił kwerend. Brak bibliografii na końcu nie wynika z przeoczenia, choć nie jest także skutkiem lenistwa...

Przyznaję się od razu: wszystko co zostało tu napisane jest po prostu bezwstydnie oryginalne... co wcale nie znaczy, że stojące w zasadniczej sprzeczności ze wszystkim, co dotychczas o debatach napisano. Oryginalne w tym sensie, że sprawdzone na skórze własnej oraz osób w debatach mi towarzyszących. Świadomie i z wyrachowania nie podpieram się autorytetami, nie cytuję „stanu badań nad...”, bo wolę przykłady z życia niż z książek wzięte. Podpatrzone i komentarzem oprowione. Przy tej okazji gwarantuję sporo nazwisk i anegdot w stu procentach prawdziwych. Obserwacje, na pod-

stawie których powstała ta książka poczyniłem bowiem w trakcie niezliczonych debat publicznych i programów telewizyjnych, które w ciągu ostatniej dekady zdarzyło mi się poprowadzić, a nie tylko oglądać. Wiem zatem jak ich tworzenie wygląda od kuchni. Co więcej, jako wciąż praktykujący w tej dziedzinie kucharz, mam do sprzedania kilka sprawdzonych przepisów: jak się w trakcie publicznej debaty nie ugotować, jak nie przesolić (albo przesłodzić) i generalnie być dla widzów strawnym.

Nie robię tego według klasycznej, podręcznikowej formuły, bo, choć na naukę nigdy nie jest za późno, nie uważam, by sposobu rozgrywania debat można się było nauczyć, jak gry w szachy czy jazdy na nartach. No, chyba, że się ktoś uprze... tylko po co? Tak naprawdę każdy z nas ma „z tyłu głowy” wszystkie chwyt retoryczne opisywane w najróżniejszych, uczonych księgach (od starożytnych mędrców po „Erystykę” Schopenhauera). Mało tego, większość z nas posługuje się nimi, ale intuicyjnie, niczym Molierowski pan Jourdin prozą. Rzecz zatem nie we wkuwaniu, ale w świadomym posługiwaniu się słowem, gestem, rekwizytem. Bo też powiedzmy to sobie bez fałszywej skromności, jesteśmy nieoszlifowanymi retorycznymi diamentami. Oczywiście każdy w swoim niepowtarzalnym stylu. Trzeba tylko dobrze siebie w tej grze, jaką jest debata obsadzić, właściwie wykorzystać swój talent. Aby to się udało, należy poznać jej reguły, scenariusz, didaskalia. Celem, jaki sobie w tej książce stawiam, jest zatem uświadamianie, a nie nauczanie. Aczkolwiek dołożę wszelkich starań, by proces uświadamiania był nie tylko ciekawy, ale i pouczający.

Ponieważ zazwyczaj nie prowadziłem debat za darmo, lecz za konkretne, płatne przez TVP wynagrodzenie, poczuwam się teraz w obowiązku, zwłaszcza wobec rzetelnych płatników abonamentu, podzielić się zgromadzoną wiedzą i pozyskanym doświadczeniem. Kto z tej wyjątkowej oferty skorzysta, ten bez zbędnych wydatków na kursy i szkolenia, a jedynie po cenie kupna tej niewielkiej pozycji uzyska większe niż dotąd poczucie pewności siebie. Po przeczytaniu wszystkich zawartych tu obserwacji, wskazówek, ostrzeżeń i dobrych rad, na pewno trudniej będzie go przegadać, zapędzić do narożnika, wkręcić, czy zakrzyczeć, co w sytuacjach publicznych jest dziś jak najbardziej realnym zagrożeniem. Realnym dla każdego.

Przestrzeń publiczna staje się bowiem w coraz większym stopniu przestrzenią medialną. Telewizja się zdemokratyzowała i zmultiplikowała, a debata publiczna przestała być czymś ekskluzywnym. I tak po prawdzie – nie znasz dnia, ani godziny, kiedy padnie na Ciebie. Jeszcze nie widziałas/nie widziałeś siebie na szklanym ekranie czy monitorze komputera, dyskutującego zawięście na ważny temat? Wkrótce zobaczysz! Uruchom wyobraźnię. To nie musi być program Elżbiety Jaworowicz czy Tomasza Lisa. Udział w debacie przeprowadzonej na uczelni, w firmie czy w radzie miasta, a transmitowanej przez Internet, czy prezentowanej na telebimie, jest równie ważny. Wymaga dokładnie takich samych umiejętności i kompetencji. Na te ostatnie wpływ mam niewielki. Za to w kwestii warsztatu mogę się przydać.

O CZYM TU DEBATOWAĆ?

Zacznijmy od rozmowy

Aby nie powtarzać w kółko słowa debata, dobrze mieć pod ręką kilka synonimów. Wystarczy bez odrywania wzroku od ekranu kliknąć w odpowiednim miejscu myszką i już mamy właściwy zestaw: „rozprawa, dyskurs, panel, rozmowa”. Dorzućmy jeszcze kojarzące się niejako automatycznie z debatą spór i konfrontację... To wszystko brzmi prawie tak samo, ale jak głosi znany slogan reklamowy, „prawie”, czyni wielką różnicę.

Słowo „rozmowa” brzmi lżej niż debata (chciałoby się rzec: bardziej lajtowo, ale się nie rzeknie). I jakoś tak kameralnie. Rozmawiać można przy obiedzie lub przy kawie. Towarzysko, relaksowo, niezobowiązująco, ale i służbowo. No właśnie. Rozmowy kwalifikacyjne nie mają raczej charakteru relaksowego, zwłaszcza dla zakwalifikowanego lub nie (w zależności od przebiegu rozmowy). Albo słynne nocne Polaków rozmowy: zasadnicze, fundamentalne, czasem trwające do świtu, albo do pierwszej krwi, w zależności od ilości wypitego przy okazji alkoholu. A zatem rzecz nie w lekkości. Więc może

w liczebności? „Porozmawiajmy” – to zwrot faktycznie używany raczej w sytuacji jeden/jedna na jednego. „Chce pan o tym porozmawiać” pyta zazwyczaj terapeuta znerwicowanego pacjenta, zaklinając trochę w ten sposób problem komunikacyjny. Ale inkryminowany zwrot może być także użyty – i bywa – na przykład wobec 40 uczniów w klasie: „porozmawiajmy o tym, co wydarzyło się w czasie przerwy” – proponuje wychowawczyni. Rzeczywiście, może lepiej teraz, niż w obecności dyrektora, pomyśli w takiej sytuacji niejeden z nieznanych sprawców.

Jest zatem w rozmowie jednak coś kameralnego, intymnego, nawet w sytuacji bardzo oficjalnej. Treść i przebieg rozmowy kwalifikacyjnej są czasem bardziej intymne niż dialog zakochanych (zwłaszcza prowadzony przez komórkę w przytomności dwudziestu pasażerów tramwaju). A co dopiero rozmowa dyplomatyczna na najwyższym szczeblu, toczona przy napełnianej wielokrotnie lampce wina lub w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Nocne rozmowy Polaków też nazajutrz zyskują zazwyczaj klauzulę poufności... Nie tylko ze względu na luki w pamięci.

Tak naprawdę jednak w rozmowie mniej ważne są konkluzje, ustalenia, za to jakże istotne bywają didaskalia. Pamięta się miejsce, ubiór, smak kawy, uśmiech, albo jego brak. Klimat rozmowy, nastroj, tak zwane „okoliczności przyrody” w jakich się przyszło spotkać są ważne. W skrajnych przypadkach rozmowa może nawet przebiegać... bez słów („tak sobie razem pomilczeliśmy”). W przypadkach mniej skrajnych, a jakże częstych, słów może paść niewiele, za to wieloznacznych, aluzyjnych,

a to „coś” pozostaje niedopowiedziane wprost, zawieszone gdzieś między słowami.

Rozmowa bywa zatem wartością samą w sobie. Czasem wręcz czystą przyjemnością, gdy łączy się z wymianą myśli. Za takimi rozmowami, jako gatunkiem niestety ginącym, wielokrotnie swój żal i tęsknotę wyrażał Wojciech Młynarski. Bo były one barometrem stanu ducha i sposobem bycia inteligenta zarówno czasów małej stabilizacji, jak i późnego Gierka, czy wczesnego Jaruzelskiego. W III RP już się tak nie rozmawia, głównie dlatego, że wszystkie myśli są bardzo zajęte i nie ma się czym wymieniać. Ale to temat na osobną rozmowę.

Reasumując ten wątek – rozmowa, bez względu na status rozmówców i sytuację, w jakiej się odbywa jest bliżej sfery prywatnej niż publicznej – z samej swej natury. I uznajmy, że tym właśnie się różni od, ze swej natury publicznej, debaty.

Rozprawa i dyskurs

Brzmia dużo oficjalniej niż rozmowa. Nieprzypadkowo. Wychodzimy ze sfery prywatności w rejony, gdzie króluje szkielecko i oko, garnitury i krawaty. Rozprawa bywa zazwyczaj naukowa, nawet gdy nie ma charakteru opasłego tomu. Rozprawiać można wszak także bez pośrednictwa druku, publicznie, posługując się słowem. I nie do końca naukowo, choć o sprawach ważnych, czasem wręcz wagi państwowej. I niekoniecznie samotrzeć. Rozprawa może się toczyć nawet między trzema osobami publicz-

nymi, na przykład panem, wójtem i plebanem. U Mikołaja Reja toczyła się na tyle wartko, że do dziś pozostaje obiektem licznych studiów i analiz.

Niestety, obecnie już się tak barwnie („chyttrze bydlą z pany kmiecie”) nie rozprawia, głównie ze względu na barierę językową. Polszczyzna zubożała, a rozprawa się zdemokratyzowała i to na tyle, że po prawdzie to w ogóle się nie rozprawia, wyłącznie dyskutuje. A to jednak nie do końca to samo. Rozprawa do dyskusji ma się trochę, jak kwiat do chwastu. W tej pierwszej element dbałości o formę wypowiedzi, dobór i adekwatność słów, był sprawą zasadniczą. W drugiej nie ma większego znaczenia. Dyskusja pleni się i wije, czasem na tyle bujnie, że tłumi pojawiającą się w poszczególnych wypowiedziach myśl. Rozprawa toczyła się zawsze w poszukiwaniu sensu, według zwyczajowo przyjętej dyscypliny. W dyskusji nie o to chodzi, by złowić króliczka, ale by gonić go. Sensem jest raczej możliwość swobodnej ekspresji poszczególnych dyskutantów, według bardzo umownie traktowanej dyscypliny. Także retorycznej.

Ciekawe, że określenie „dyskurs”, używane jest zazwyczaj w poważnych tekstach i bywa raczej pewnym ukłonem w stronę językowej tradycji. W praktyce jest to eufemizm, bo dyskusja stała się w ciągu ostatnich dekad wyrazem nacechowanym raczej pejoratywnie. Słyszymy zapowiedź: „a teraz rozpoczynamy dyskusję” – i jesteśmy gotowi na najgorsze. Niestusznie, bo dyskusje bywają też gorące, ciekawe, burzliwe, ba, nawet zajmujące. Ale tak już się jakoś przyjęło, że dyskutant, znaczy tyle, co truteń (od słowa „truć”).

Powód jest dość banalny. Dyskusje mają zazwyczaj charakter żywiołowy i nieuporządkowany. Są formą publicznej terapii, nie tylko retorycznej. I skrzętnie wykorzystywaną okazją do zaprezentowania swoich dokonań, obserwacji, przemyśleń, zazwyczaj pozostających w luźnym związku z przedmiotem dyskusji. Jeśli nie zdarzy się cud, wystąpienia takie prowadzą zazwyczaj do nikąd lub na manowce. Dyskusje są co prawda zawsze na jakiś temat, ale nie zmierzają do jakiegoś określonego celu. Także dlatego, że nie mają sprawnego moderatora, a dyskutanci są zazwyczaj samozwańcami, nie doboranymi według jakiegoś merytorycznego klucza. I tym dyskusja różni się od debaty.

Spór czyli konfrontacja

Tu zaczynają się schody, a kończą żarty. Rozmowa – jako się rzekło – może być przyjemnością samą w sobie. Spór raczej wiąże się ze stresem. Rozmawiać zawsze warto, spierać się – niekoniecznie. Konfrontacja z drugim człowiekiem z reguły przyjmowana jest jako ostateczność, choć są ludzie, którzy czerpią ze sporów swoistą satysfakcję. W Latającym Cyrku Monthly Pythona można zobaczyć nie tylko ministerstwo niemądrych kroków, ale i urząd, w którym za niewielką opłatą (według stawki zegarowej) można się pospierać. W tym konkretnym skeczu klient wychodzi jednak niezadowolony, bo – skądinąd słusznie – uznaje, że sprzeczka to coś więcej niż zwykle przekomarzanie się dla paru groszy. Spór wymaga

autentycznego zaangażowania i adrenaliny, odpowiedniego poziomu emocji, niekoniecznie pozytywnych.

Rozmowa poprawia nastrój, spór burzy spokój, ale i rozładowuje napięcie. Nie uzewnętrznianie różnicy zdań – dla tak zwanego świętego spokoju – i tak w dłuższej perspektywie prowadzi do konfliktu. Tym gwałtowniejszego, im dłużej różnice są ukrywane. Paradoksalnie, wejście w odpowiednim momencie w jawny spór, pozwala uniknąć wielu nieporozumień i rozwiązań drażliwych. Wiedzą coś na ten temat doświadczeni negocjatorzy. Zwłaszcza związkowi. Rzymianie ujmowali to we właściwy sobie sposób, czyli krótko i zwięźle: *si vis pacem para bellum* (chcesz pokoju, szykuj się do wojny). Maksyma ta świetnie pasuje nie tylko do polityki i dyplomacji. Tym bardziej, że w relacjach międzyludzkich można wojnę prowadzić metodami prawdziwie pokojowymi, a do takich należy niewątpliwie spór toczony publicznie na słowa, racje, argumenty.

W rozmowie czy dyspacie mogą uczestniczyć osoby nie różniące się w poglądach, a jedynie poszerzające swoje horyzonty. Spór zaczyna się od różnicy zdań, ale zazwyczaj chodzi w nim o coś więcej, niż tylko zaprezentowanie tej odmienności. Chodzi o to, kto ma rację, kto jest bliższy prawdy, albowiem prawda nigdy nie leży pośrodku, jak głosi obiegowa opinia, tylko zawsze leży... tam gdzie leży, jak zwykł mawiać Władysław Bartoszewski. Każdy z uczestników sporu jest oczywiście przekonany, że to właśnie on wie, gdzie ta prawda leży. Każdy ma niezachwiane poczucie bycia po jasnej stronie mocy, w odróżnieniu od zaćmienia umysłu adwersarzy. Czoło-

we zderzenie jest w tej sytuacji nieuniknione. Konfrontacja gwarantowana.

Czy słowa „spór”, „konfrontacja” i „debata” znaczą to samo? Nie do końca. Spór może przybrać formę debaty, ale nie każda debata musi koniecznie być sporem. Debata daje możliwość konfrontacji poglądów, a zarazem szansę uniknięcia konfrontacji ich wyznawców, ze wszystkimi jej konsekwencjami. W debacie oczywiście powinny występować różne punkty widzenia, inaczej będzie pozbawiona sensu, natomiast nie zawsze muszą one prowadzić do bezpośredniego starcia. Dlaczego? Otóż spór polega na tym, że jego uczestnicy przekonują siebie nawzajem, zaś biorący udział w debacie starają się pozyskać dla swoich racji widzów i słuchaczy. A to zasadnicza różnica. Gdy się z kimś spieramy, czujemy swoistą misję, powołanie. Naszą ambicją jest wyprowadzenie bliźniego z błędu i sprowadzenie go na właściwą drogę. Jeśli mamy naturę pokojową – cierpliwie nawracamy i ewangelizujemy. Jeśli mamy duszę wojownika, przywołujemy adwersarza do porządku, demaskujemy, wykazujemy jego złą wolę lub ignorancję. W debacie natomiast robimy... na pozór to samo, przynajmniej co do formy i stosowanych środków retorycznych. Nie mamy jednak ambicji, ani zamiaru nikogo z uczestników debaty nawracać. Stąd wcale nie musi dojść do czołowego zderzenia. Nie mamy przecież złudzeń, że osoba z którą debatujemy pokaja się, wyzna swe winy, wywiesi białą flagę czy rzuci ręcznik na ring. Nokaut nie wchodzi w rachubę (rękoczyńny tym bardziej), jeśli wygramy, to tylko na punkty, a wyrok wyda obserwator debaty. Naj-

wyższy trybunał i wyrocznia w jednym. Punkty zaś, jak w sporcie, przyznaje się także za wrażenie artystyczne. Niektórzy uważają, że za wrażenie przede wszystkim. Żyjemy bowiem w czasach, gdy wizerunek wpływa na odbiorców w stopniu porównywalnym lub nawet większym niż racjonalne argumenty.

Debatując, uczestniczymy zatem w swoistym widowisku, trochę podobnym do rozprawy sądowej, trochę do sportowej rywalizacji, a trochę do przedstawienia teatralnego. Debata jest spektaklem, w którym nikt nie chce zostać przez widownię uznanym za czarny charakter. I grą, w której trzeba pokazać sportową klasę, by przekonać do siebie publiczność.